

George Alec Effinger Duchowy Mistrz

Występował przed kilkusetmilionową widownią, chociaż sam był jedynym człowiekiem na olbrzymim stadionie. Otaczały go koncentryczne kręgi z przezroczystych plastikowych płytek, poczynając od krawędzi sceny, dosłownie kilka metrów od jego stóp, i wznosząc się coraz wyżej i wyżej, aż tam, gdzie najdalsze rzędy miejsc ginęły w mrokach późnego wieczoru. Każde z nich zajmowała swobodna świadomość, kierowana i nadzorowana poza ciałem przez TECT.

Annaben nie wzbudzał swym występem takiego zachwyty jak inni, sławniejsi pisarze; tym niemniej jego opowieści były pełne werwy. Chociaż spora część widowni przybyła wysłuchać Phiotha, większość trafiła tu również z nadzieją usłyszenia długiego i ciekawego fragmentu prozy Annabena.

Siedział na fotelu pośrodku czarnej, błyszczącej sceny. Stopy złączone na podłodze, dłonie spoczywające na kolanach. Nie spuszczał głowy, ale na jego twarzy malowała się senność i zmęczenie. Phioth nie usiadzie, o nie; największy z twórców będzie się miotał po maleńkiej przestrzeni, snując swoje opowieści krzykiem lub szeptem, sławę zdobywając zarówno aktorstwem, jak i słowami.

Ten fragment był jak na Annabena wyjątkowo długi. W czasie trzech poprzednich występów jego opowiadanie kończyło się przed upływem trzydziestu minut; fragmenty nie wiązały się ze sobą i daleko im było do utworzenia jednej całości. Istniała co prawda zawsze szansa, że jakiś nowy fragment połączy dwa wcześniejsze, zagadkowe kawałki ujawniając całą strukturę. Ale nie dzisiaj. Bo oto następny fragment, być może zupełnie innej łamigłówki. Dłuższy, ciekawy. Publiczność będzie zadowolona, ale uczeni nie.

- "Rzucił następną bombę" - mówił Annaben, deklamując

powoli, z niewielką jedynie modulacją głosu. - "Dom towarowy runął. Odłamki cegieł i szkła spadały wokół niego; był poraniony i krwawił. Nie czuł nic poza niesamowitym uniesieniem. Dźwięk potęgi w huku wybuchu, łoskot walących się ton betonu i stali, brzęk setek tłukących się szyb - to wszystko zdawało mu się dziwnie kojące i ekscytujące".

Słuchacze nie rozumieli wielu słów; prawdę mówiąc fabuła opowiadania była bez znaczenia. Wydawało się, że człowiek postępuje o d m i e n n i e, inaczej niż reszta ludzi. W wielu opowieściach pisarzy ludzie zachowywali się w sposób przerażający. Część osób przestała przychodzić na występy z uwagi na to, że opowiadania mogą uczyć człowieka takiego właśnie o d m i e n n e g o zachowania. To uczeni, korzystający z twórczych zasobów TECT-u, będą się zastanawiać nad znaczeniem obcych słów: bomba, potęga, beton.

Annaben mówił dalej. - "Pośród bezładnych i zwęglonych gruzów klęczał". - Umilkł. Najwyraźniej urwał w pół zdania. Słuchacze, w milionach rozsianych po świecie domów, westchnęli. Annaben siedział przez kilka chwil w milczeniu; stopniowo jego twarz się ożywiała, jakby budził się z głębokiego snu. Stał samotnie na ogromnym stadionie, a potem podszedł do krawędzi sceny. Był zmęczony.

Usiadł oczekując kolejnego występu. Był sam; Vakeis znajdowała się w jego domu. Jej cielesna powłoka spoczywała na niskiej leżance koło sadzawki. Domyślał się, że świadomość Vakeis przebywa ciągle tu, na stadionie, w oczekiwaniu na wielkiego Phiotha. Uśmiechnął się ponuro. Czyż miał prawo się spodziewać, że czeka na niego, skoro występował Phioth? Pozwolił sobie na odrobinę zazdrości, uczucie rzadkie u ludzi, lecz dla pisarza dostatecznie ekscentryczne. Jako twórca miał stale zarezerwowaną płytkę na stadionie. Wiedział, że tysiące ludzi pozbawionych szans uczestnictwa w występie zgorszyłby jego brak zainteresowania.

Postanowił zostać, ponieważ recytacja Phiotha rzeczywiście

wciągała. A skoro on był największy z nich wszystkich, każdy występ stanowił cząstkę historii. TECT oświetlił scenę, gdyż niebo było już czarne. Phioth wyłonił się z tectu niedaleko miejsca zajmowanego przez Annabena. Annaben patrzył, jak Phioth podchodzi do fotela na środku sceny. Jego dłonie chwyciły za poręcze, a kciuk odnalazł małe wyżłobienie z niewielką ilością relaksantu, który miał go przygotować do popisu. Jeśli umysł Phiotha, ciśnięty przez TECT w wielki strumień śmierci, byłby niespokojny i zalekniony, nie osiągnąłby swego celu.

Co roku za pomocą TECT-u wysyłano dziesiątki świadomości kandydatów na pisarzy, z których każdy miał nadzieję przyłączyć się do wędrującej pozostałości starożytnego mistrza. Czasami, jak Phioth, mieli szczęście i jaźń młodego człowieka trafiała na odpowiedniego towarzysza. Najczęściej jednakże na śmiałka nie czekał żaden umysł i zamiast chwały spotykało go śmiertelne przerażenie. Oczywiście TECT u s u w a ł wszystkich takich nieszczęśników i tylko inni pisarze oglądali przerażający widok żywego człowieka z martwym umysłem.

Phioth zbliżył się do fotela pewny siebie; bądź co bądź odbył podróż wielokrotnie i wiedział, że czeka na niego przyjazna dusza. Na przedziwnej, płomiennej równinie znajdowały się, porzucone po śmierci ciał, niezliczone dawne intelekty. Ale jeśli umysł młodego ochotnika nie był do nich odpowiednio dostrojony, na nic się zdawała komunikacja dusz. Gdy pisarz miał szczęście, powracał przy zdrowych zmysłach z jakimś strzępkim zaginionej literatury. Gdy miał wyjątkowe szczęście, okazywało się, że jego własne, wrodzone zdolności znajdowały odbicie we wspólnocie z jakimś legendarnym geniuszem.

Phioth miał największe szczęście i był najwybitniejszym ze wszystkich pisarzy. Po dwóco -iekach połowów w strumieniu myśli jeden człowiek stał się Williamem Szekspirem/Phiothem. Chociaż nie zachowało się żadne z dzieł Szekspira, ponieważ literatura w ogóle nie istniała, reputacja elżbietańskiego dramaturga wzrastała i kwitła. Publiczność słuchała Phiotha z

przejęciem, gdyż każdy nowy wskrzeszony przez niego fragment rozlegał się na ziemi po raz pierwszy od dwu tysięcy lat.

- "Bo nic w nim tak wewnątrz" - mówił Phioth, wciąż w fotelu. Uniósł się powoli; jego twarz zachowała nawiedzony wyraz właściwy występującemu pisarzowi, ciało zaś przemierzało wąską scenę. Ręce w ciągłym ruchu, wskazujące, gestykulujące, grożące. Głos zmieniający zarówno ton, jak i tempo. Annaben zachwycał się mocą słów niemal pozbawionych sensu.

Jak i na zewnątrz nie jest tym, czym było.

Co by innego jak śmierć ojca mogło

Do tego stopnia wywieść go za obręb

Jego natury, nie pojmuję wcale.

Proszę was przeto, was, coście z nim wzrosli

I z bliska z jego wiekiem i myślami

Sąsiadujecie, abyście czas jakiś

Na naszym dworze zabawili...

Annaben przyglądał mu się z zawiścią. Phioth chodził w przód i w tył po maleńkiej scenie i Annabena porwał wir ruchu. Tego rodzaju zachowanie było tak prowokujące, tak o d m i e n n e, że zastanawiał się, czemu nie zjawiają się tectmani, by Phiotha u s u n ą ć. To nie były tylko wielkie, martwe słowa, ale również jakieś bezimienne, przeszłe namiętności, niebezpieczne pasje, które zawładnęły Annabenem. Ludzie mu współcześni na powrót odkryli ideę teatru, wedle której pewne twory umysłu pisarza nie powinny być jedynie czytane. Uczni i TECT w przybliżeniu odtworzyli formy literackie na podstawie kilku różnych fragmentów, które otrzymali od swych pisarzy.

Phioth mówił dalej, a tymczasem Annaben zastanawiał się nad swoją popularnością. Z treści jego fragmentów jasno wynikało, że źródła ich szukać należy w epoce innej niż czasy Szekspira. Każdy pisarz znał tożsamość swego dawno zmarłego mentora; czuł ją we wnętrzu swej swobodnej świadomości aż do chwili, kiedy kontakt słabł i zmęczony przekaznik się budził. Annaben opowiadał historie niejakiego Sandora Courane'a; uczeni nic o nim nie wiedzieli i rozważali wartość jego twórczości w porównaniu z Szekspirem. Courane był mniej subtelny, mniej uniwersalny, lecz bardziej - zajmujący. Przemawiał do szerszej publiczności, a takie zjawisko wymagało analizy. Jednakże to nie Annaben miał się zastanawiać nad tym, co stanowi o jego odrębności. W duchu cieszył się swą sławą, ale jeszcze głębiej w duchu źle życzył Phiothowi.

- "jakoż zdaje mi się" - mówił Phioth zaciskając pięści nad głową...

Jeżeli tylko ten mózg nie zszedł na bok

Z drogi trafności, którą zwykł był kroczyć,

Że ostatecznie nie jest mi już obcym,

Skąd bierze źródło szaleństwo Hamleta.

Hamlet! Kolejny fragment tego sławnego mitu. Uczeni na pewno piszcza z radości, pomyślał. Wiedziony nagłym impulsem wstał, wsiadł do tectu i przeniósł się do domu.

Trawa pod stopami była chłodna. Pomiedzy nieregularnie rozstawionymi fragmentami dachu widział pierwsze spokojne błyski gwiazd. Tu i ówdzie stały z rzadka cienkie płyty podtrzymujące kawałki dachu i mechanizmy domu. Pośród nich rosły drzewa, płynęły strumyki i stały gotowe do użytku meble. U stóp wzgórza Annaben ujrzał nikłą poświatę wokół leżanki, na

której nadal spoczywało ciało Vakeis, podczas gdy ona sama oglądała wspaniały występ Phiotha.

W powietrzu czuło się chłód i Annaben polecił TECT-owi podnieść temperaturę w swym otwartym domu. Po namyśle zarządził jasną iluminację całej posiadłości. TECT rozproszył noc, rozdarł ciemność na poszarpane cienie i wypędził spomiędzy korzeni drzew nawet jej malutkie strzępki. Annaben poczuł się lepiej. Zszedł do stawu i usiadł na trawie naprzeciwko swej kochanki. Czekał, aż Phioth skończy.

Po paru minutach Vakeis się poruszyła. Usiadła i zaczęła rozcierać szyję, która zdrętwiała przez ten długi okres, kiedy jej umysł przebywał na stadionie. Zauważyła Annabena i uśmiechnęła się.

- Wcześniej wróciłeś - stwierdziła zdziwiona.

- Byłem bardzo zmęczony - odparł. Nie odwzajemnił jej uśmiechu. Widziałem tylko kawałek Phiotha. Znowu Hamlet, co?

- Tak. Bardzo piękne, ale dziwne. Szkoda, że nie zostałeś. Tysiące ludzi dałoby swoje Prawo Głosu, żeby go zobaczyć.

- Wiem - odrzekł wstając i wyciągając do niej rękę. Przeszli dokoła stawu, który Annaben dzięki TECT-owi utrzymywał cały rok pod lodem. Poprowadził ją z powrotem pod górę, na plac spotkań. Nie miał ochoty na rozmowę wiedząc, że cokolwiek powie, naprowadzi ją na dyskusję o Phiothcie.

- Podobał mi się twój występ, kochanie - rzekła.

- Cieszę się. Oczywiście nic nie pamiętam. Może jeśli Charait i reszta przyjdą dziś wieczorem, odtworzę to. To smutne, że tak mało mnie interesuje własna praca.

- Nie wierzę ci - powiedziała Vakeis wyrywając kępkę trawy i rzucając ją w kierunku głowy Annabena. Schylił się i uniknął trafienia. Nie roześmiał się.

- Naprawdę - rzekł. - Nie wiem nawet, czemu się tym przejmuję. Jeśli się konkuruje z kimś takim jak Phioth, trudno brać siebie

samego na poważnie.

- Phioth to jedno, a ty to drugie - widziała, że Annaben po swoim występie jest bardziej przygnębiony niż po prostu zmęczony.

Chwyciła go za rękę, a on się zatrzymał i spojrzał na nią. -

Posłuchaj - rzekła - co najmniej tyle samo ludzi uwielbia twoje występy.

- Niezupełnie - odparł z goryczą.

- No, prawie tyle samo. Szekspir to mit. Półbóg. Ma się rozumieć, że ludzie idą posłuchać Phiotha z innym nastawieniem. Ale twoje występy dają im więcej p r z y j e m n o ś c i. Nawet nie możecie ze sobą konkurować. Wychodzicie naprzeciw zupełnie innym potrzebom i obaj w równym stopniu je zaspokajacie. Byłeś dziś naprawdę wspaniały.

- Chodź. Pewnie niedługo już tu będą.

Pod wpływem ogarniającej go nudy i zazdrości Annaben kazał TECT-owi wygasić wszystkie światła w domu, pozostawiając jedynie na czas ich spaceru delikatną poświatę na wzgórzu.

Zamówił cichutką muzykę, ale w rosnącym zniecierpliwieniu i z tego natychmiast zrezygnował. Kiedy dotarli na szczyt wzgórza, plac spotkań w posiadłości Annabena, zobaczyli dwóch mężczyzn wyłaniających się z małego testu. Pierwszy przybysz był wysoki i szczupły; splecione włosy sięgały mu aż do pasa. Jego ciało owijała bladoniebieska materia. Drugi był niższy i grubszy, z krótko przystrzyżonymi włosami i niewielką bródką. Nie miał na sobie żadnego odzienia. Goście pomachali do Annabena oraz Vakeis i zasiedli na trawie w oczekiwaniu.

- Witaj, Charaicie - rzekła Vakeis podchodząc do mężczyzny w niebieskiej szacie. Dotknął jej nogi i pocałował w kolano, a Vakeis się roześmiała. - To jest Torephes - powiedział Charait unosząc dłoń towarzyszącego mu mężczyzny. - Aż trudno uwierzyć, ale on też chce występować. Annaben zmarszczył czoło. Charait nie stanowił problemu; jego kawałki odzyskanej literatury pochodziły z dzieł jakiejś tam pani Lidsake. Uчени, wspomagani przez

wszystkie subtelne umiejętności TECT-u, nie byli w stanie umiejscowić jej wśród innych odkrytych pisarzy, zarówno pod względem gatunku, jak i chronologicznie. Występy Charaita były ciekawe z historycznego punktu widzenia, tak zresztą, jak wszystkie inne, ale szczególnej rozrywki nie dostarczały. Lecz ten nowy Torephes stanowił dla Annabena zagrożenie jako potencjalny przekaźnik nowego geniusza, który mógłby zaćmić jego własne mizerne osiągnięcia.

- Mój przyjaciel Charait nie żartuje - powiedział Annaben. - Tylko nam, pisarzom, dane było widzieć, co dzieje się z kandydatami, którym się nie powiodło. Gdyby ludzie wiedzieli, jakie to okropne, wkrótce w ogóle nie byłoby pisarzy. Czy dobrze się nad tym zastanowiłeś?

Torephes sprawiał wrażenie zakłopotanego. Annaben przekazał myślą TECT-owi polecenie i temperatura placu spotkań została obniżona o dziesięć stopni.

- Zawsze o tym marzyłem - odpowiedział Torephes. - Jestem świadom ryzyka. Charait straszy mnie już od dwóch lat, ale ja chcę spróbować. - Jego twarz wyrażała takie zdecydowanie, że Annaben się roześmiał.

- Zatem poczekajmy, aż przybędą pozostali i porozmawiamy - rzekł. - Być może natchnienie Phiotha niewłaściwie cię zainspirowało.

Annaben i Vakeis zasiedli obok dwu gości. Annaben milczał i zakłopotana Vakeis przejęła rolę gospodyni, pytając gości, czy jest im wygodnie i czy nie życzą sobie czegoś do jedzenia lub picia.

- Jest trochę chłodno - odparł Torephes, ciągle skrepowany, pełen obaw, czy nie obrazi takiej sławy, jak Annaben.

Annaben mruknął coś i kazał TECT-owi podwyższyć temperaturę o dziesięć stopni. - Dystrybutor jest tam - rzekł wskazując na jedyną ścianę w miejscu spotkań. Z jego słów jasno wynikało, że nie zamierza obsłużyć swych gości, tak jak wymagałoby tego zwykła uprzejmość. Torephes szepnął coś do

Charait; Annaben usłyszał, że proponuje, aby wyszli, lecz Charait tylko potrząsnął głową. W końcu Annaben jest pisarzem, kimś łatwiej ulegającym nastrojom niż przeciętny obywatel. A poza tym dopiero co skończył występ. Charait wziął Torephesa za rękę i poprowadził do dystrybutora.

- Masz na coś ochotę, Vakeis? - spytał.

- Nie - odrzekła. - Potem.

- Annaben?

Annaben zmarszczył tylko czoło i machnął ręką. Charait zażyczył sobie niewielką miseczkę mięsa i kwiatów, a Torephes wypił filiżankę relaksantu i zjadł trochę chleba białkowego.

Chwilę później z tectu Annabena wyłoniły się trzy osoby: młoda kobieta i dwu starszych mężczyzn. Pozdrowili Annabena i jego gości, podszli prosto do automatu, po czym przysiedli się do nich na trawie. Młoda kobieta nazywała się Rochei; była pisarką zestroszoną z dawno zmarłą poetką nazwiskiem Elizabeth Dawson Douglas. Jeden ze starców był sławnym pisarzem, któremu Annaben zazdrościł prawie tak samo jak Phiothowi. Nazywał się Tradenne, ale również Tertius Publius Ieta. Drugi mężczyzna, Briol, miał swój pierwszy występ przed kilkoma dniami i oczarował publiczność fragmentem napisanym przez Daniela Defoe. Annaben nadal siedział markotny obok Vakeis i to ona dokonała prezentacji. Lekka rozmowa przyjaciół urwała się, kiedy się dowiedzieli, że Torephes chce zostać pisarzem.

- Czy widziałeś dziś Phiotha? - spytała Rochei zaplatając ciemne włosy Vakeis.

- Tak - odrzekł Torephes. - Jeden z moich ojców wie, jak bardzo chcę występować, i pozwolił mi skorzystać ze swego miejsca na stadionie.

- Podobało ci się? - spytał Tradenne. Torephes zawahał się.

- Phioth to nie ten typ geniusza. On nie musi się p o d o b a ć. Jego się p r z e ż y w a, czyż nie? Nie tylko geniusz Szekspira, ale

i geniusz Phiotha. - Właśnie - zauważył cicho Briol.

- Chciałbym się dowiedzieć, co myślisz o m o i m występie - spytał Annaben.

Na placu spotkań zaległa nagła cisza. Atmosfera stała się napięta. Pytanie było niezbyt grzeczne i nie tłumaczyły go nawet sławne dziwactwa Annabena.

- Uważam, że był pan bardzo dobry - odrzekł Torephes po dłuższej chwili. - Podobały mi się wszystkie pańskie występy, które słyszałem przez TECT. Pan to coś odrębnego, Courane jest szczególny, daje nam to, czego nie znajdujemy u innych.

Annaben zmarszczył czoło. Wstał zmuszając przybyłych, by patrzyli w górę na niego, kiedy spaceruje. - Czy kiedykolwiek poprosiłbyś jednego ze swoich ojców o miejsce, by obejrzeć m ó j występ? - spytał.

Torephes szukał pomocy u reszty gości. Dla Annabena było oczywiste, że młodzieniec został upokorzony.

- To była wyjątkowa okazja. Phioth nie występuje zbyt często.

Annaben nic nie odrzekł. Podszedł do dystrybutora świadom szmeru prowadzonej szeptem za jego plecami rozmowy. Wiedząc, że młodzieniec nie zdobędzie się na ponowną prośbę, polecił TECT-owi obniżyć temperaturę o piętnaście stopni.

- Nasz przyjaciel Briol chciał zostać pisarzem - rzekł Annaben wracając po chwili na miejsce z filiżanką stymulantu. - Jest jednym z tych, którym się powiodło. Nie wiem, jakimi argumentami posługiwali się twoi ojcowie, ale nie mogą znać całej prawdy, jeśli sami nie są pisarzami.

- Szkoda, że nie wiedziałem, jak to jest, zanim to zrobiłem - powiedział Briol uśmiechając się nerwowo. - Prawdopodobnie nie odważyłbym się na to.

- I gdybyś nie poszedł przed Stalele... - rzekła Rochei.

Annaben odstawił swoją filiżankę i chwycił Torephesa za ramię. - Powinieneś to usłyszeć. Powiemy ci, jak to jest i co się może z

tobą stać, i jeśli nadal będziesz chciał zostać pisarzem, uznamy cię za szalonego.

- Nie słuchaj go, Torephesie - rzekł Charait. - To moja wina; ja cię tu przyprowadziłem. Może nie był to najlepszy pomysł. Annaben jest zmęczony.

- Ależ nie, skądże - zaproponował Annaben. - Nie powinien uważać, że nasze życie to tylko blask i chwała.

Torephes bezskutecznie próbował uwolnić ramię z uścisku Annabena. Nigdy nie miałem takich złudzeń - powiedział.

- Chwileczkę - rzekł Annaben. - Niech Briol ci o tym opowie.

Briol siedział w milczeniu z podciągniętymi kolanami, z głową na splecionych ramionach. Był najstarszy wśród zgromadzonych na placu spotkań, ale pisarze kierowali się bardzo specyficznymi zasadami hierarchii: był jednocześnie najmniej z nich doświadczony i nie mógł się obrażać z powodu braku uwagi.

- No cóż - powiedział powoli. - Pierwszym razem było to przerażające. Wsunąłem kciuk w wyżłobienie i poczułem lekkie ukłucie, jakby szpilką. Czekałem, aż relaksant zacznie działać, a potem po prostu poleciłem, aby TECT mnie wysłał. To znaczy na zewnątrz, a nie w jakieś konkretne miejsce. Bałem się pomimo narkotyku.

Wypowiadając te słowa Briol wpatrywał się w delikatnie podświetloną trawę. Był to starszy mężczyzna, który niegdyś wiódł pożyteczne życie jako obywatel, a powody, dla których został pisarzem w tak późnym wieku, były jego tajemnicą. - Przez krótką, jasną chwilę widziałem błysk samego strumienia śmierci - mówił coraz bardziej chrapliwym głosem. - Ale zanim mój umysł, hm, zapadł w chorobę, uratowała mnie martwa jaźń człowieka, którego poznałem jako Daniela Defoe. Miałem dużo szczęścia. Tak wyglądała moja próba.

- A twój pierwszy publiczny występ? - spytał Torephes. Briol podniósł wzrok i uśmiechnął się.

- Nadal się bałem - rzekł. - Bałem się, że tym razem Daniela Defoe tam nie będzie. Ale był. I będzie już zawsze. Dla mnie.

- Opowiedz mu o Stalele - poddał Annaben wstając po kolejną filiżankę stymulantu. Briol milczał.

- Czy to ten, który miał próbny występ po tobie? - spytał Tradenne. Briol skinął głową.

- Czy mu się powiodło? - zapytał Torephes.

- Czegoś równie okropnego nigdy nie widziałam - rzekła Vakeis.

- Chcesz spróbować? - spytał Annaben siadając obok Rochei.

Torephes ujął dłoń Vakeis. - Tak - odparł.

- Dobrze - zaśmiał się Annaben. - Wspaniale. Może ci się uda trafić na Homera.

- Nie żartuj sobie z niego, Annabenie - powiedziała Vakeis. - On nie zdaje sobie sprawy z niebezpieczeństwa.

- Och, dobrze wie, co ryzykuje - odparł Annaben. - No cóż; lepiej mieć to już za sobą. Spotkamy się na scenie stadionu.

Wstał pierwszy i zniknął we wnętrzu swego osobistego tectu. Za nim ruszyli pozostali i TECT przeniósł ich na ogromną pustą arenę.

- Zapalić światło? - spytał Annaben.

- Raczej tak - odrzekł Torephes.

Annaben polecił TECT-owi włączyć oświetlenie i stadion zalał jaskrawy blask południa. - Nie bój się - mówił Annaben prowadząc Torephesa w kierunku fotela. - Briol jest już stary. Myśli o śmierci to jego specjalność. Pamiętaj na przykład o Vakeis. Jeśli wrócisz z czymś dobrym, może być twoja.

- Już teraz mogę być jego - powiedziała kwaśno. - Pokaż mu lepiej, co ma robić.

Annaben spojrział na nią ze złością.

- Miałem dzisiaj występ - przemówił w końcu. - Mój umysł jest

wyczerpany.

- W porządku - rzekł Torephes. Usiadł w fotelu i schylił się, by obejrzeć poręcz zawierającą igłę z relaksantem. - Tutaj włożyć kciuk? - spytał.

- Tak - odrzekł Charait. - Ale nie musisz robić tego właśnie dzisiaj. Twoi ojcowie zgodzili się, bym cię zabrał na spotkanie z pisarzami. Nie wiem jednak, czy chcieli też, byś już teraz wypróbował swoje umiejętności.

- Na moją odpowiedzialność - powiedział Annaben. - Wygląda na bystrego, wrażliwego chłopca.

- Już... już to zrobiłem... - wyjąkał Torephes. - Ile czasu...?

- Powinieneś niedługo poczuć - szepnęła Rochei.

- Tak.

- Teraz poleć TECT-owi, aby cię wysłał - powiedział Briol. - Tak jakbyś jechał na stadion, czy do szkoły, ale nie podawaj żadnego konkretnego miejsca. Po prostu... g d z i e ś.

Nastąpiła chwila ciszy. Potem oczy Torephesa otworzyły się szeroko; rozwarł usta, ale poza cichym gulgotem nie wydał z siebie żadnego dźwięku. Jego wargi ściągnął przerażony jęk. Z zaciśniętymi pięściami uniósł się w fotelu, prawie stając: mięśnie szyi napięte, plecy wygięte boleśnie.

Vakeis westchnęła głęboko i skryła oczy na ramieniu Charaita. Zanim ktokolwiek zdążył wypowiedzieć słowo, pojawiło się trzech tectmanów, którzy przez mały tect na krawędzi sceny u s u n ę 1 i Torephesa.

- Nie zastał nikogo - rzekł Annaben.

- Biedny chłopak - powiedział Tradenne.

- Głupiec - stwierdził Annaben. - Spotkało go to, na co zasłużył. Chciał chwały, ale nie chciał pracować. Chodziło mu tylko o klepanie butwiejących słów jakiegoś starożytnego ducha.

- Nie żal ci go? - spytała Rochei.

- Nie; wiedział przecież, co go może czekać.

- Wszyscy zaczynaliśmy tak jak on - powiedział Charait. - Wszyscy ryzykujemy. Trudno mieć tylko jemu za złe; sam to kiedyś zrobiłeś.

- Nie, nie zrobiłem - odrzekł cicho Annaben.

Byli zaskoczeni. Annaben zmarszczył czoło; pomyślał, że jeśli teraz to wyjaśni, odda im przysługę. Nie byłoby już następnego Stalele czy Torephesa.

- Czy wy tego nie rozumiecie? - spytał. - Wszyscy polujecie w dzikich strumieniach śmierci na jakieś odpadki i strzępki. Ale to, co znajdujecie, należy do zmarłych, do światów martwych od tysięcy lat. A ja nie. Nie rozumiecie? Po raz pierwszy od setek wieków ktoś tworzy. Ja nie jestem zwykłym przekaźnikiem; ja p i s z ę. Nigdy nie istniał jakiś tam Sandor Courane. Jego słowa rodzą się w m o j e j głowie.

Vakeis zaczęła płakać. Charait chwycił Annabena za nadgarstki. Chcesz powiedzieć, że nie używasz TECT-u? - spytał.

- Nie - odrzekł Annaben wyzywająco. - Nigdy tego nie próbowałem.

- A zatem kłamałeś? - spytał Tradenne.

- Nie mogę pojąć - stwierdził Briol. - Nie odtwarzasz tych fragmentów fikcji? Mówisz je od siebie? Nie potrafię tego zrozumieć.

Annaben przenosił wzrok z jednej osoby na drugą. W dziwnym świetle stadionu wszystkie twarze patrzyły na niego z niedowierzaniem i przerażeniem.

- Nie rozumiecie? - wykrzyknął Annaben. - Robię to sam z siebie.

Odsunęli się, zostawiając go koło pustego fotela. Rozglądał się w popłochu za jakimś znakiem aprobaty, pomieszanego z przestraciem zadziwienia, ale znalazł jedynie odrazę. Zaczął krzyczeć, lecz przestał, kiedy Tradenne uniósł rękę.

- Jesteś rzeczywiście zupełnie inny - powiedział starzec. Nim skończył, zjawili się trzech tectmanów, by u s u n ą ć Annabena.
Przełożyli Magda Iwińska Piotr Paszkiewicz